

Współcześnie większość wymiany handlowej dokonuje się między krajami o podobnych warunkach naturalnych.

Handel i dobrobyt.

W poprzednim szkicu opisywałem kłopoty, jakie ujawniły się na konferencji w Seattle przy próbie dalszego rozszerzenia wolnego handlu w świecie. Dzisiaj chciałbym trochę uwagi poświęcić samemu problemowi wymiany gospodarczej między danym krajem a zagranicą. Dlaczego w ogóle prowadzimy handel zagraniczny? Jakie z tego wynikają korzyści? Czytelnikom, którzy chcieliby nieco głębiej wejść w te kwestie, polecam przejrzeć napisaną książeczkę Stanisława Wellisza, profesora Columbia University w Nowym Jorku i Uniwersytetu Warszawskiego, zatytułowaną "Wolny handel czy ochrona rynku krajowego" (wydana przez CASE i PWN w 1994 r.). Zaczniemy od najbardziej oczywistego przykładu: towarów, których nie spo- sób - najczęściej z przyczyn naturalnych - wytworzyć u siebie w kraju, a chce się je konsumować, zużywać czy użytkować. Na tym przez całe wieki opierał się handel korzeniami ze wschodem. Dzisiaj z tego samego powodu sprowadzamy z zagranicy do Polski owoce południowe, ropę naftową, gaz... Handel tego typu może mieć swoje źródło nie tylko w czynnikach naturalnych, ale i w monopolu technicznym jakiegoś innego kraju. Chiny chroniły przez stulecia sekret produkcji jedwabiu, a Brytyjczycy w wieku XVIII i XIX starali się zachować monopol na produkcję maszyn, zakazując wyjazdów zagranicznych swoim rzemieślnikom i specjalistom. W obu wypadkach tajemnice technologiczne zostały przełamane. W warunkach współczesnych przejściowo monopol na produkcję i eksport określonych wyrobów dają wynalazki - efekt systematycznych badań i prac rozwojowych. Zdolność do wytwarzania (i upowszechniania) użytecznych wynalazków jest potężnym motorem postępu gospodarki. A działa on przy szczególnym zestawie i sprzężeniu instytucji gospodarczych, oświatowych i badawczych. Wzorem są tutaj Stany Zjednoczone. Współczesne monopole techniczne pokonuje się legalnie poprzez kupno licencji na korzystanie z danego wynalazku. Często zdarza się, że towary będące przedmiotem wymiany mogą być wytwarzane w każdym z handlujących krajów, mimo to opłaca się - ze względu na różnice w warunkach naturalnych - zrezygnować z autarkii i przejść do wolnego handlu. David Ricardo, XIX-wieczny brytyjski ekonomista i jeden z głównych twórców nowożytnej teorii handlu międzynarodowego, opisał taką sytuację, odwołując się do przykładu dwóch krajów (Anglii i Portugalii) oraz dwóch towarów (tekstyliów i wina). Jak podkreśla Stanisław Wellisz, w

średniowieczu, gdy transport morski był jeszcze bardzo kosztowny, w Anglii istniały winnice i produkowano wino. Z przyczyn naturalnych koszty produkcji wina i w efekcie jego ceny w Portugalii były zdecydowanie niższe niż w Anglii; odwrotnie wyglądała sprawa tekstyliów. Angielscy kupcy mogli więc kupić u siebie tekstylia, sprzedać je w Portugalii, kupić tam wino i sprzedać je z zyskiem w macierzystym kraju. W wyniku systematycznego dokonywania takich transakcji w Anglii wino potaniało w stosunku do tekstyliów, a w Portugalii tekstylia potaniały w relacji do wina. W obu krajach korzyści odnieśli konsumenci, a przejściowo mogli ucierpieć producenci (w Anglii - wytwórcy wina, zaś w Portugalii - tekstyliów). Zamożność każdego z państw mogła jednak wzrosnąć, gdyż jego producenci skoncentrowali się na dziedzinach, w których każdy z krajów jest bardziej wydajny. Wolny handel zatem nie tylko poprawia sytuację konsumentów, ale i zwiększa - przy spełnieniu określonych warunków - produkt narodowy poszczególnych krajów. Współcześnie większość wymiany handlowej dokonuje się między krajami o podobnych warunkach naturalnych. A więc nie w różnicach klimatu czy położenia geograficznego należy szukać w tym wypadku korzyści płynących z handlu zagranicznego. Jeśli nie w tych warunkach, to w jakich? Co napędza międzynarodową wymianę gospodarczą? Tym pytaniem zajmowali się w okresie międzywojennym wybitni szwedzcy ekonomiści - Eli Heckscher i Bertil Ohlin. Wyniki ich badań rozwinął i ujął w formie modelu matematycznego Paul Samuelson, pierwszy laureat Nagrody Nobla z ekonomii i autor słynnego podręcznika ekonomii. Generalna odpowiedź jest następująca: handel międzynarodowy rozwija się dzięki temu, że w poszczególnych krajach różnie układają się proporcje tzw. czynników wytwórczych (pracy, kapitału), a ściślej - dzięki temu, że kraje różnią się pod względem ilości kapitału przypadającego średnio na pracownika. Kapitał oznacza tu każdy zasób zdolny do produkowania dochodu: mosty, drogi, maszyny, środki finansowe, wiedzę i umiejętności. Teoria mówi, że kraje, które mają więcej kapitału w stosunku do pracy, czyli kraje zamożniejsze, mają nad biedniejszymi przewagę w produkcji towarów kapitałochłonnych, gdyż mogą je wytwarzać taniej. Z kolei kraje biedniejsze, mające mniej kapitału w stosunku do pracy - albo inaczej rzecz ujmując: więcej pracy na jednostkę kapitału - mają względną przewagę w produkcji wyrobów pracołłonnych. Jednym z przejawów największego marnotrawstwa w biednym kraju, który z natury rzeczy ma mało kapitału, jest przeznaczanie tego szczupłego zasobu na produkcję wymagającą dużych nakładów kapitałowych. Prędzej czy później prowadzi to do stagnacji i regresu gospodarczego oraz bezrobocia, które może przyjąć formę jawną lub ukrytą. Dlaczego bezrobocie? Każde miejsce pracy wymaga pewnej ilości kapitału. Jeżeli ma się duży zasób pracy, a mało kapitału, to w celu maksymalizacji zatrudnienia trzeba kapitał w miarę równo rozłożyć. W opisanych warunkach wymaga to angażowania się w dziedziny zużywające stosunkowo

mało kapitału na jednego zatrudnionego, czyli relatywnie mało kapitałochłonne. Opisane marnotrawstwo kapitału i wynikające z tego szkody dla rozwoju i zatrudnienia występują tylko w gospodarce kontrolowanej politycznie, gdzie dyspozycja kapitałem (decyzje, w co i ile inwestować) pozostaje w gestii państwa, czyli polityków, urzędników oraz związanych z nimi grup. Taka była istota każdego socjalizmu - czy to w wydaniu europejskim, arabskim, czy latynoamerykańskim. Upolitycznienie decyzji inwestycyjnych spycha w cień kryteria ekonomiczne, a pogarda dla rachunku ekonomicznego zawsze szkodzi ludziom, niestety - często w sposób niewidzialny. Prawdziwi społeczni szkodnicy nie chcą liczyć. Przy upolitycznieniu decyzji inwestycyjnych na pierwszy plan wybijają się względy prestiżowe i fałszywe doktryny. W krajach RWPG, gdzie występowało szczególnie duże natężenie socjalizmu, królowała doktryna "nowoczesności". W imię "nowoczesności" dekretowano, które dziedziny powinny się rozwijać (nazywano je "nośnikami postępu technicznego"), a które nie zasługiwały na preferencje (dziedziny "tradycyjne"). W ten sposób zaniedbywano gałęzie dające stosunkowo biednym krajom względną przewagę (przemysł tekstylny czy spożywczy), a forsowano rozwój dziedzin kapitałochłonnych, trwoniąc kapitał i osiągając mierne wyniki. O bankructwie tej strategii świadczy m.in. fakt, że mimo ogromnych preferencji i nakładów w okresie socjalizmu, bardzo trudno wskazać zaawansowane technologicznie produkty pochodzące z krajów dawnego bloku socjalistycznego, które zdobyłyby sobie mocną pozycję na rynkach międzynarodowych. A jednocześnie lata zaniedbań i opóźnienia w prywatyzacji sprawiły, że - przynajmniej w wypadku Polski - produkty dziedzin "tradycyjnych", cieszące się kiedyś uznaniem za granicą, straciły na wartości i znaczeniu. Dotyczy to na przykład wódki "Wyborowej". Warto obliczyć, ile Polska straciła wskutek blokady prywatyzacji Polmosów w latach 1994-1997. Cały czas trzeba się mieć na baczności i uczyć się od rywali. Taka jest natura konkurencji wolnorynkowej gospodarki startującej z niskiego poziomu rozwoju kształtującej swoją strukturę zgodnie ze wskazaniami teorii i naturą rzeczy. Dzięki temu mogą się rozwijać, a wskutek tego stopniowo przesuwać od dziedzin i technik mniej kapitałochłonnych do bardziej kapitałochłonnych. Na pierwszy rzut oka największą zagadką stanowi handel wyrobami tej samej branży (handel wewnątrzbranżowy) między krajami o podobnych warunkach naturalnych i podobnym poziomie rozwoju, czyli o zbliżonym względnym wyposażeniu w kapitał. A właśnie taka wewnątrzbranżowa wymiana - zwłaszcza między krajami OECD - rozwija się szczególnie szybko po II wojnie światowej. Dotyczy to na przykład samochodów i ich części, maszyn, sprzętu gospodarstwa domowego. Ponieważ uczestniczą w tej wymianie głównie kraje o wolnorynkowej gospodarce, jej siłą napędową muszą być wzajemne korzyści - zarówno dla bezpośrednich uczestników, jak i dla

handlujących z sobą krajów. A co leży u podłoża owych korzyści? Jedną z głównych sił jest specjalizacja. W niektórych dziedzinach - należy do nich m.in. przemysł samochodowy - produkcja na wielką skalę umożliwia obniżkę kosztów jednostkowych, bo niezbędne, wysokie nakłady na badania można rozłożyć na większą liczbę egzemplarzy danego wyrobu albo zastosować bardziej wydajne urządzenia. Dlatego nawet wielkie kraje, w tym Stany Zjednoczone, nie produkują wszystkiego, a wiele importują. Dla krajów mniejszych, do których zalicza się Polska, produkcja bez rynków zewnętrznych byłaby w wielu wypadkach nieefektywna, a przez to droga. Z kolei import jest nie tylko niezbędnym wyrazem specjalizacji, ale także nośnikiem konkurencyjnych bodźców. Potrzebne jest to nawet Amerykanom. Bez nacisku w formie importu japońskich samochodów nie nastąpiłaby tak szybka poprawa efektywności i jakości w amerykańskim przemyśle samochodowym. A teraz z kolei amerykańskie i europejskie firmy przejmują - niezwykłych, wydawałoby się - producentów samochodów w Japonii. Taka jest natura konkurencji: cały czas trzeba się mieć na baczności i uczyć się od konkurentów.

Leszek Balcerowicz

Felieton ściągnięty ze strony www.balcerowicz.pl.